

Rozdział III

Organy ryknęły ostatnim, potężnym akordem. Słychać było wśród tego ryku drżenie szyb w oknach kościoła. Jeszcze kilka pasaży od najniższych do najwyższych tonów i jeszcze jeden jakby zwycięski akord, podbudowany grzmiącymi basami. Potem nagle gwałtowna cisza, w której echa muzyki pulsowały pod wysokim stropem. Wreszcie wszystko umilkło i ostatni ministrant znikł za księdzem w drzwiach, prowadzących z prezbiterium do zakrystii.

Ludzie, klękawszy pospiesznie, przeciskali się jedni przez drugich ku wyjściu. Jadzia też uklękła na chwilę i przeżegnała się. Nie spieszyło się jej do wyjścia. Patrzała w okna, by zobaczyć dający się słyszeć deszczyk, który szemrał po kościelnym dachu. W mroku ściany wydawały się martwe i obce. Rozwieszone rzędem dookoła stacje drogi krzyżowej z niemieckimi napisami budziły w niej odrazę. Mama mówiła jej kiedyś, że dawniej, przed wojną, napisy były polskie — dopiero później, za czasów hitlerowskich, zostały zastąpione niemieckimi. Dlaczego po wojnie nikt nie przywrócił kościołowi polskiego słowa?

Wyszedszy na cmentarz kościelny, zatrzymała się przez chwilę pod drzewami. Wydawało się, że deszcz ustaje, i rzeczywiście gdzieś tam rozjaśniało się niebo. Przebiegła szybko przez szosę i weszła w boczną drogę.

Tutaj również drzewa chroniły przed siąpiącym deszczem.

Powietrze było spokojne, we wsi panowała cisza. Droga opustoszała, prowadziła tylko na cmentarz i prawie nikt tutaj o tej porze nie chodził.

Przyrzekła babce, że w jej zastępstwie pójdzie na cmentarz odwiedzić dziadka i przy okazji oczyścić jego grób. Rozmawiały długo przy śniadaniu. Staruszka opowiadała o dawnej Lipowinie, o dawnym w niej życiu. Jak wiele przecierpeli od Niemców rodzice i inni mieszkańcy wsi. Bronili swej mowy i swych obyczajów przed coraz to silniej napierającą niemczyzną — mimo demoralizacji, przekupstwa, niszczenia materialnego i duchowego, mimo dosłownego często bicia. To było bicie jeszcze straszliwsze od tego, o którym opowiadał wieczorem wuj. Wielu uległo po latach; ich dzieci nie przyznawały się już do polskości. Inni odeszli dopiero później — po wojnie — gdy tak długo wyczekiwana Polska zawiodła zrazu ich nadzieje, gdy nie znaleźli w niej zrozumienia i spełnienia wieloletnich marzeń.

Jadzia nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że dziesiątki wytrwałych Polaków odeszły po latach trudnej walki, porzucając najdroższe im rodzinne kąty; że wielu pozostałych urąga tej samej Polsce, na którą czekali przez wieki; że jeszcze by poszli na Zachód — nawet do swych dawnych prześladowców.

Po rozmowie z babką przeczuwała odpowiedź na te pytania, choć nie potrafiła jej sformułować. Babka mówiła, że nienawiść pociąga za sobą cały łańcuch nienawiści, który nie kończy się i będzie niósł niebezpieczeństwo tak długo, póki się go raz nie przerwie. Ci starzy nieuczeni ludzie mają w sobie zdobytą latami mądrość.

Niemcy pałali nienawiścią do całego świata. Polacy

odpłacali im nienawiścią, mimo że kładziono na nich mundury hitlerowskiej armii — te zresztą pogłębiały jeszcze nienawiść. Żołnierze radzieccy nienawidzili faszyzmu, bo przecież zniszczył im ojczyznę, mordował ojców, matki, dzieci. Odpłacali nienawiścią na ziemiach, które były przedtem we władaniu niemieckim. Potem pierwsi osadnicy z Polski przyszedli znowu z uczuciem nienawiści do tych, którzy nosili podczas wojny nienawistne niemieckie mundury. Nic dziwnego, że w mieszkańcach Nowej Lipowiny zaczęła kiełkować nieufność do oswobodzicieli. Poczuli się obcymi ludźmi. W nowej sytuacji przeculi — słusznie czy niesłusznie — nowe troski. Przecież byli tacy osadnicy, którzy i ich zaliczali do Niemców.

Cmentarz zapachniał jedliną. Za żelaznym płotem leżał spłacheć zaniedbanej, porosłej zielskiem ziemi. Jadzia łatwo znalazła grób dziadka z metalowym krzyżem i polskim napisem na białej blaszanej tabliczce: „Michał Piotrowski — ur. 23. IX. 1866 — zmarł 15. V. 1948.” Długo żył. Przeżył wiele wojen, wiele cierpień i klęsk, uwieńczonych wreszcie wielkim, a tak trudnym do przeżycia zwycięstwem. Co poniósł ze sobą do grobu? Czy również jeszcze jakąś nienawiść? Chyba nie. Babka jest jedną z tych, co zrozumieli życie i przerwali łańcuch nienawiści. Z pewnością i on.

Pomodliwszy się nad grobem, oczyściła go z chwastów. Deszcz przestał siąpić. Umyła ręce przy pompie cmentarnej i poszła między groby. Na większości tablic widniały polskie nazwiska — przeważnie jednak pośród niemieckich tekstów — często w dodatku zniekształcone niemiecką pisownią.

Nie wszystko tutaj rozumiała. Umiała jeszcze wytłumaczyć sobie, dlaczego przy nazwisku Wiktor Czajka podano po niemiecku: „geboren 23. IV. 1872, gestorben 14. VII. 1943”; być może, za czasów hitlerowskich,

podczas nienawistnej wojny, nie można było inaczej. Dlaczego jednak Anton — a nie Antoni — Zientara był również „geboren am 25. VI. 1893”, jeśli „gestorben 25. X. 1957” — a więc dwanaście lat po wyzwoleniu?

Bywało i odwrotnie. Barbara Hermańska „ur. 9. III. 1886, zmarła 18. VII. 1952”. A przecież Hermańscy — to ludzie zasiedziali tutaj od wielu lat. Nie zniemczyli się jednak. A na grobie Jana Majka podano nawet, że po przeżyciu 72 lat zmarł 1. IX. 1943 — a więc polska tabliczka umieszczona została w czasach najsroższej niewoli. Czy też może wymieniono ją po wojnie?

Polskie napisy pochodziły niekiedy z zamierzchłych czasów — choćby ten w centrum cmentarza, wryty na grobowym kamieniu „X. proboszcz Mikołaj Rochon, ur. 21. X. 1824, umarł 17. V. 1887.” Dziwny jest natomiast pobliski grób: „Othilie Laschewski, Lehrerr Wittwe, gestorben 1931”. Skąd u tej wdowy po nauczycielu o polskim nazwisku te zniekształcenia niemieckie i niemiecki tekst? Czy mąż jej był polskim, czy niemieckim nauczycielem? A jeśli niemieckim, to dlaczego?

Nagle przypomniało się Jadzi, że nauczyciel wuja Romana był też Polakiem i przez długi czas sprzyjał rodakom, dopiero później uległ naciskowi niemieckich władz szkolnych. A przecież i za czasów mamy uczył w Nowej Lipowinie niemiecki nauczyciel Herr Maślowski! A jeden ze starych sąsiadów powiedział jej kiedyś podczas jakiejś rozmowy, że jednym z największych wrogów polskość był niemiecki nauczyciel nazwiskiem Muszelski...

Zdążając z powrotem do furtki, zatrzymała się nagle, bo targnął nią niespodziany żal: dlaczego nie ma grobu ojca?

Ojciec poległ za Niemcy, w mundurze hitlerow-

skiego żołnierza. Może zabił go rosyjski żołnierz, walczący za wolność swej ojczyzny i wyzwalający polskie ziemie? A może padł od kuli polskiego partyzanta? Kogóż tu i za co nienawidzić?

Przywołały ją do przytomności głosy ludzi wchodzących na cmentarz. Podniosła głowę i spojrzała w ich stronę. Otwierano furtkę, która przeraźliwie piszczała w zawiasach. Spomiędzy tego zgrzytu wyłoniło się nagle radosne wołanie:

— Jadzia!

Chłopięcy głos brzmiał wesoło, triumfalnie.

Ucieszyła się, tak dawno nie słyszała tego głosu. Helmut Pakosz od pewnego czasu unikał jej. Tak, to on — drogi, dobry Helmut! niezapomniany kolega!

Przywitali się serdecznie. Helmut mocno potrząsał jej ręką.

— Podobno nie wrócisz już do szkoły?! — to było jego pierwsze pytanie. Uraziło ją. Ale mówił już dalej: — Idziesz już do domu?

— Byłam na grobie dziadka — odpowiedziała. — Obejrzałam i inne groby. Ale poczekam na ciebie.

— To chodź ze mną, ja tylko na krótko. Dowiedziałem się, że przyjechałaś na dobre, zaszedłem do was, powiedzieli mi, gdzie jesteś. Ale przecież wstąpię do matki, jak jestem na cmentarzu.

Zagubiła się w tym potoku jego słów. Taki sam, jak zawsze: żywy, pełen dobrych myśli.

— No, to chodź.

— Nie, lepiej poczekam na drodze. Pospiesz się.

Potrzebowała teraz chwili samotności — tym bardziej że widok jednej z kobiet, które przed chwilą wchodziły na cmentarz, przypomniał jej smutne sprawy.

Wyszła na drogę. Pole mimo deszczyku leżało suche, nienasycone. Na horyzoncie stał brunatny las.

Ale Jadzia stanęła przy płocie i wypatrywała tej kobiety między cmentarnymi drzewami. Znalazła ją wreszcie, stojącą nad jednym z grobów. Popielaty prochowiec spływał z wątych ramion, układał się swobodnie na chudych piersiach i niżej naprężał się na okrągłym, odstającym brzuchu.

Tak, przecież wie: dziewięć miesięcy. Zna to przecież już od dawna. Urodziła się 30 września 1945 roku — już po wyzwoleniu, po zakończeniu działań wojennych. Zaczęła szybko liczyć miesiące wstecz od tej daty. Rychło spostrzegła, że liczyć nie potrzeba, że wrzesień jest akurat dziewiątym miesiącem roku. A więc koniec grudnia — święta!

Nigdy nie uświadomiła sobie dotąd, że urodziła się bez ojca. Wojna skończyła się w maju 1945. Ojciec mógł zginąć najpóźniej w tym miesiącu. A może wcześniej?

Przeraziły ją te myśli. Poczuła się taka samotna. Wsparła się dłonią o zardzewiały, żelazny płotek.

Przecież mama wspominała kiedyś, że ojciec był w domu po raz ostatni na Boże Narodzenie. Zamajaczyła jej w głowie choinka, wigilia, śnieg. No tak, przecież słyszała: ojciec musiał wracać z urlopu przed samym Nowym Rokiem. Tak — to jasne.

Dopiero teraz zrozumiała, jak powierzchownie przepływała w niej dotychczas wiedza o dawnych czasach. To była tylko jakaś historia — obce, cudze życie. Słyszała w szkole o różnych sprawach, były te sprawy papierowe, książkowe. A okazuje się, że historia i ją dosięgła — obrabowała z czegoś najbliższego, najserdeczniejszego — z widoku ojca.

Chciała jeszcze raz popatrzeć na tę brzemienną kobietę, by zapomnieć o tym wszystkim, wyzwolić się z nawału myśli. Ale zobaczyła Helmuta, podchodzą-

cego właśnie i uśmiechającego się po swojemu. Zarumieniała się i odwróciła głowę.

Ruszyła drogą przed siebie, w stronę wsi.

Dogonił ją. Podbiegł z tyłu i pochwycił za łokieć — nie tak, jak to czynił dawniej.

Nigdy nie był taki czuły. Stał się jakiś inny, nie wiedziała jeszcze, dlaczego. Zapewne dorósł. Właściwie to od szkolnych czasów, a więc już prawie od trzech lat, nie rozmawiali dłużej i szczerzej. Unikali się nawzajem, mieli po ukończeniu siódmej klasy własne, inne sprawy, odmienne życie. Widocznie plotki o jej odejściu ze szkoły wpłynęły na zmianę jego stosunku do niej.

— Przyjechałaś już na zawsze, prawda? Przecież nie ma żadnych wakacji.

— Nie nudź, Helmut. Cieszę się, że ciebie spotkałam. Ale jak będziesz nudził...

— Już nie będę.

Był skory do przyrzeczeń. Zawsze łatwo godził się na wszystko. Teraz mocniej ścisnął jej łokieć, ośmiałała go pustka, minęli już wieś i szosa biegła polem.

I w sobie dostrzegła zmiany. Dawny Helmut był dla niej jak brat. Ten jest obcym, dorosłym chłopakiem. Jego dotknięcie wywoływało w niej jakieś bolesne zadowolenie — coś między radością a strachem. Chciała odsunąć jego rękę, ale nie mogła.

— Jadziu, jak ty pędzisz!

Dopiero po tej uwadze spostrzegła swój pośpiech. Zwolniwszy, otarła się plecami o jego bark. Zbliżył się do niej jeszcze bardziej i, trzymając dalej za łokieć, szepnął do ucha:

— Zostań!

— Dlaczego? Dlaczego ci tak na tym zależy?

Zaśmiał się tylko. Milczeli.

Po obu stronach asfaltu leżały suche, brązowe ugo-

ry. Nieco dalej wyrastały młode zagajniki. Małe sosenki połyskiwały jasną zielenią, a końce ich gałązek przypominały choinkowe świeczki, które przywodziły Jadzi myśl o ojcu. Najczęściej widywała jego fotografię, na której, w wojskowym mundurze, stał uroczysto i sztywno. Nawet na dużym ślubnym zdjęciu oboje rodzice nie wyglądali na kochającą się parę.

Gdy mijali gęsty, cienisty zagajnik — przejął ją strach. Zapytała nagle i dopiero po wypowiedzeniu tych słów zrozumiała, co oznaczają:

— Ile ty masz lat, Helmut?

— Dziewiętnaście — powiedział jakby z dumą, śmiejąc się.

Przeraziło ją to. Byłaby uciekła, gdyby nie zwykły towarzyski wstyd. Przecież nie działo się nic takiego... Dlaczego się więc boi?

Helmut ukończył razem z Jadzią siódmą klasę i nie uczył się dalej. Miał zawsze trudności w nauce, gdyż w domu mówiono częściowo po niemiecku, a i teraz jeszcze ciotki, nie mając styczności ze światem, wypowiadały się w tym języku łatwiej. Nikt nie wierzył, by mógł zdać egzamin wstępny do jakiegokolwiek szkoły średniej. Wyszedł zresztą z siódmej klasy, mając ukończonych szesnaście lat — nie przyjmowano takich chętnie, a teraz w ogóle wszystko przepadło. Mieszkał u ciotek, które żądały, by poszedł do jakiejś pracy — ale, jak do tej pory, odpowiednia praca nie nadarzała się.

Tak miło wspominało się tamtą szkołę. W siódmej klasie byli tylko we dwoje, uczyli się razem z szóstą. Stanowili tę „dzielną dwójkę”, która wodziła rej w harcerek drużynie.

— Masz jeszcze ten marynarski mundur?

Jadzia uśmiechnęła się na wspomnienie mundurów. Wyglądali w nich paradnie, gdy cała drużyna

stała w szeregu. A na czele drużynowy — kierownik szkoły — we wspaniałym mundurze ze złotymi galonami. Byli wtedy wdzięczni kolejarzom z Olsztyna, którzy opiekowali się szkołą. Mundurki były jednym z ich darów.

Ale Helmutowi wspomnienia te sprawiały więcej bólu niż radości. Rzucił w pewnej chwili:

— I co z tego wszystkiego?

Jadzia aż przystała.

Helmut zachmurzył się. Puścił jej łokieć i zrobiło się jej jakby przykro — nie wiedziała, czy z powodu bluźnierczego pytania Helmuta, czy z powodu tego łokcia.

— Bo pomyśl — zaczął mówić. — Chodziliśmy do tej szkoły, trudno nam było, ale lubiliśmy się i żyło się wesoło. A teraz każdy poszedł sobie w inną stronę, ty do Bartoszcyc, ja zostałem, niektórzy porozjeżdżali się po świecie. I co mi pozostało z tej szkoły? Nic z niej w życiu nie będę miał. Wiesz, my jednak w Polsce żyć nie możemy.

Zatrzymała się teraz jeszcze gwałtowniej. Nie mogła się pohamować. Stała naprzeciw niego i patrzyła mu prosto w oczy. Wydał się jej teraz obcy, jak gdyby zobaczyła go pierwszy raz.

— Jak to: nie możesz żyć w Polsce? I kto? powiedz, kto? Co za my?

Spuścił oczy. Wiedziała, słyszała o tym, że są jeszcze tacy, którzy marzą o wyjeździe do Niemiec. Ale Helmut? Zapytała znowu:

— I ty byś wyjechał do Niemiec?

— Tak — powiedział. — Byłoby mi tam lepiej.

Nie rozumiała tego tak dalece, że nie potrafiła wyrazić zdumienia. Ktoś szedł drogą. Zawstydzila się nagle i ruszyła przed siebie. Powłókł się za nią.

— Dokąd idziesz, Jadzia?

Zeszła w piaszczystą drogę, wiodącą przez wieś. Na schodkach pierwszego z domów stał Wieczorek — jakiś tam dalszy krewny. Rozglądał się po niebie, wypatrując, jaka pogoda. Przypomniało się Jadzi, jak kiedyś mama wspominała, że ojciec razem z Wieczorkiem służył w niemieckiej armii. Ojciec stanął jej w oczach — ten ze zdjęcia, w mundurze. Może dowie się czegoś więcej o tym, którego w życiu nie widziała?

Pozdrowiła stojącego. Miał śmieszne spodnie na szelkach i wypięty brzusek. Odpowiedział skinieniem ręki i dopiero po chwili, gdy już miała go mijać, zagadał:

— Na, was gibt's neues, Mädell?

Przywykła słyszeć w Lipowinie niemiecki język, niektórzy używali go na co dzień. Teraz jednak ogarnęło ją zdumienie na myśl, że i ojciec jako niemiecki żołnierz mógł tak rozmawiać. Przystanęła.

— Czy mój ojciec też rozmawiał po niemiecku?

Wieczorek zaśmiał się donośnie. Była z tego rada, bo równie dobrze mogło go to pytanie urazić.

— Byliśwa niemieckie żołdacy — wyjaśnił krótko. — Razem w jednej kompanii.

A może był przy śmierci ojca? Nie chciała niczego o niej wiedzieć, musiała być tragiczna. Ginęli ludzie za jakieś obce, wrogie sprawy. Wolałaby słyszeć o ojcu żywym, o tym, który dał jej życie. Nie chciała jednak tak w przelocie, na drodze, zadawać tych pytań. Wymusiła z siebie jeszcze tylko to jedno, najbardziej ją niepokojące.

— Czy wujek był razem z moim ojcem na ostatnim urlopie, na Gwiazdkę czterdziestego czwartego roku?

— Jo — westchnął Wieczorek. — Razem. Pojechałiśwa potem razem zurück na front.

Uśmiechnął się dziwnie, zakończywszy informację.

Tego uśmiechu Jadzia nie mogła już znieść. Nie chciała też już nic więcej słyszeć. Bąknęła:

— Do widzenia.

Szybkim krokiem ruszyła do domu. Mignął jej w oczach Helmut, czekający na nią przed szkolnym budynkiem. Przeszłoby bezradnie z nogi na nogę. Szła po przeciwnej stronie drogi wzdłuż szkolnego boiska i patrzyła w skropiony deszczykiem piach. Na nic jej ci wszyscy obcy ludzie. Pragnęła Bartoszyca z ich prostym, nieskomplikowanym życiem, ze spokojną nauką z dnia na dzień.

Mijając Helmuta, zaczęła biec.

Usłyszała za sobą:

— Jadzia!

Pomyślała tylko: dlaczego nie Hedwig?

Wpadła na mamę, stojącą w drzwiach. Chciała i ją minąć, ale nie mogła. Mama pochwyciła ją obu rękami.

— Co ci, córuchno? To o tę szkołę?

Jadzia rozszlochała się w objęciach matki.

*

Już ponad rok nie widzieli rodzinnej wsi, więc szli do niej szybko. Ciągnęły ich własne domy, młode żony i pierwsze dzieci, pozostawione przy nich. Było już zupełnie ciemno i wieś powitała ich z daleka słabymi błyskami lamp naftowych. Żołnierze jeszcze bardziej przyspieszyli kroku. Wojskowe buty stukwały w asfalt.

— Siehst du, Hans? — szepnął Wieczorek.

— Was? — zapytał Piotrowski.

— Hermannsdorf.

Piotrowski mruknął z jakimś wiele mówiącym uśmiechem:

— Warum soll ich nicht sehen... Nowa Lipowina — poprawił kolegę.

Poszli w milczeniu dalej. Pola kończyły się i wieś majaczyła przed nimi już całkiem wyraźnie. Aż zdziwili się, jak prędko pokonali tę przestrzeń od Butryn, do których z Olsztyna przybyli autobusem. Wieś przyjęła ich szczekaniem psów.

— Melden wir uns noch heute beim sołtys?

— Ach, scheiss...

Wieczorek mieszkał na początku wsi, blisko szosy. Toteż, ledwie znaleźli się między zabudowaniami, czas już był na pożegnanie.

— Auf Wiedersehen, Hans.

— Auf Wiedersehen.

Piotrowski puścił się przez wieś. Dopiero teraz poczuł brzemię plecaka, ale to brzemię radowało go. Aż w dalekiej Rosji, na straconych już teraz ziemiach, zbierał te prezenty dla żony i synka, przywiezione teraz do Nowej Lipowiny. I oto nareszcie zbliża się do rodzinnego domu. To do tego samego domu powracał całkiem podobnie przed dziesięciu laty — w czasach, gdy w dalekim Królewcu odbywał służbę wojskową. Wtedy nie było jeszcze w tym domu Marii i Ernesta, wracał tylko do matki i ojca. Dziś wraca i do rodziców, i do żony, i do synka. Jutro zasiądzie ze wszystkimi do wigilijnej wieczerzy.

Świeciło się w kuchni i przez okno blask padał na pustą część podwórza. Furtka skrzypnęła — i cisza — psa widocznie nie było w dalszym ciągu od czasu, gdy ogromnego Fritza zastrzelił SS-mann z Olsztyna. Jan popchnął drzwi do sieni, owionął go zapach kiszzonej kapusty, namacał klamkę i zanim drzwi się otwały, poczuł w ciemnicy woń piekących się placków. Maria rzuciła mu się na szyję. Zza jej głowy widział rodziców: matka ugniatała ciasto na stole, a ojciec sie-

dział z fajką w zębach i tłuczkiem kręcił coś w dużej misce.

— Wo Ernst? — zapytał cichutko.

Głowy rodziców zwróciły się ku niemu, a żona ode-
rwała twarz od jego policzków i patrzyła mu prosto
w oczy. Zrobiło mu się nieswojo, bo wyglądała tak,
jakby miała mu coś powiedzieć, ale dopiero po chwili
wahania odparła tylko, również szeptem:

— Spsi.

Przywitał się z matką, potem z ojcem, zdjął czapkę,
zrzucił plecak i płaszcz, wyjął z kieszeni wojskową
latarkę i wsunął się do pokoju. W białym łóżeczku
dziecko leżało z otwartymi ustami, głęboko oddycha-
jąc. Różowa twarzyczka promieniała ciepłem, śmiesz-
nie wygięta rączka podsunęła się pod główkę, a spod
kołderki wystawała pulchna nóżka, bezwładna, jakby
bezbronna. Przypomniały mu się rosyjskie dzieci, wie-
zione wagonami pod Kurskiem, ale odpędził to wspo-
mnienie i wrócił do kuchni.

— Ciepło, zagrzeję się — powiedział siadając przy
piecu.

— Na długo przyjechałeś? — zapytała Maria. To
pytanie drążyło ją od pierwszej chwili.

— Niby na dwa tygodnie, ale diabli tam wiedzą,
powiedzieli, że możemy, zajechawszy do domu, zna-
leźć telegram. Sama wiesz, jak jest. Mogą każdej
chwili abrufen.

— A śniłeś mi się kilka razy. Raz, przed tygodniem,
że śpiewaliśmy kolędy w kościele w Butrynach, a nie-
boszczyk ksiądz Kaczorowski odprawiał pasterkę. Po-
tem, kiedy indziej, że jechałam z tobą na front. A dzi-
siał, ostatniej nocy, to tak strasznie biłeś Ernesta, ale
przyszedł jakiś oficer i dał ci za to w pysk. Wiedzia-
łam, że się przybijesz.

— Jak tam wojna? — pytał ojciec.

— Jak ma być? — odpowiedział niechętnie. — Kaput. Już ino patrzeć, jak Ruski do was przyjdą.

— A wy? — wybuchnęła matka trwożnie.

— Gott mit uns — zaśmiał się odkładając właśnie zdjęty dopiero co pas z metalową klamrą, która pobrzękiwała w jego rękach.

— I co będzie? — dopytywała się matka, już teraz rozpaczliwie, rzuciwszy robotę i stojąc z umazanymi ciastem rękami.

— Co ma być? Wycofujemy się planmäßig, stoimy teraz nad Wisłą, niedaleko Dębina. Nie wiada, czy Iwan będzie czekał do wiosny, czy ruszy jeszcze zimą. Bombarduje raz po raz, że żyć się nie chce. A może my pierwsi ruszymy, jak Adolf rzuci tę swoją Wunderwaffe. Ale już teraz nikt w to nie wierzy — alles Bluff. Mówią, że aby Ruski podciągnął tyły i dowiózł kaszy, to nie będzie niczego czekał, ino nas swoimi katuszami popędzi. Nie zatrzymamy się, jak in Berlin. Polaki nad Wisłą wiedzą wszystko lepiej niż my w Wehrmachcie.

— I nie boją się mówić? — zdziwiła się Maria.

— Teraz już nikt niczego się nie boi — odpowiedział ojciec za syna.

Jan zapalił papierosa. Zaciągnął się i mówił dalej:

— Nie boją się nawet oficerów. Polski naród twardy i śmiały. Żeby mieli w trzydziestym dziewiątym czołgi, samoloty i w ogóle broń, to ho-ho! Gdy z nimi czasem pogadam po naszymu, to strach słuchać, jak pyskują na Hitlera. Trzeba się oglądać, czy kto z naszych nie słyszy. „A po co ty w niemieckim wojsku? — pytają. — Pewnieś Volksdeutsch”. Ale jak im powiedzieć, że się jest z Ostpreussów, to stają się delikatniejsi. A wszystko wiedzą, i to nawet naprzd. Mówią, że w styczniu zacnie się ostatnia tańcówka.

— Nasi tutaj też słuchają polskiego radia — wtrą-

cił znowu ojciec. — My tam nie chcemy, sąsiady niepewne. Ale jak zejdziemy się z Białojanami, Nowocieniami, Homanami, Hermańskimi, Kuhnami, Kochami, to opowiadają, co słycać z Londynu, a co z Madrytu, a skądinąd jeszcze, aże z Moskwy. Żeby ino przez nas ta nawała jakoś spokojnie przeszła. Będzie u nas Polska.

— Mówicie? — zapytał syn niepewnie, podniósłszy głowę.

— Zobaczysz! — zawołała Maria śmiejąc się. — Jeszcze Ernest pójdzie do polskiej szkoły, tak jak ja.

Zapanowała cisza. Jan spojrział z lękiem ku oknu.

— Cicho — szepnęła matka.

Zanurzili się w tej ciszy jak w czymś błogim, dobrym i bezpiecznym. Ojciec kręcił znowu tłuczkiem w misce, pykając namiętnie z fajki. Matka sypała proszek do ciasta. Maria zdążyła już zaparzyć herbatę i stawiała ją teraz przed mężem. Po chwili niosła talerz pełen chleba, obłożonego szynką. Jan wrzucił do pieca niedopałek papierosa.

— My już po kolacji — mówiła Maria. — Masz, zjedz, pewnieś głodny. Jadłeś obiad? Napijesz się wódki?

— Nie. Obiad jedliśmy z Wieczorkiem w Olsztynie na dworcu. Wypijemy sobie z ojcem w święta.

— Recht — potwierdził ojciec. — Wieczorek przyjechał z tobą?

— Jo.

— To się Anna ucieszy — zawołała znów Maria głośno. — Nie mogła się doczekać.

— A ty? — rzucił ojciec spode łba.

Maria zaśmiała się znowu, stanęła za plecami męża, objęła go i podawała mu do ust kawałek chleba.

— Masz, pewnie jesteś zmęczony.

— Co słycać na wsi? — zapytał.

— Ano, różnie — odparł ojciec. — Wszyscy chcieliby już końca wojny, ale każdy innego końca. Niektórzy myślą uciekać przed Ruskami, inni czekają na Polskę. Chłopy wszystkie na wojnie, to się babom bez nich cni. Te to nic, aby ino chłopcy wrócili.

Zjadłszy kolację, Jan wyładował prezenty z plecaka. Był futrzany kołnierz dla żony, zabawki dla dziecka, rękawiczki i buty dla matki, futrzana czapa dla ojca. Była słonina, czekolada, cukierki, wódka, francuskie wino. Cieszyli się i oglądali do późnej nocy. Gdy się położyli — Jan z Marią długo jeszcze nie spali. Szepnęła mu w pewnej chwili do ucha:

— Trzeba nam jeszcze córki.

Dzień wigilijny zeszedł na przedświątecznej robocie. Jan włóczył się po gospodarstwie, oglądał wszystkie stare, znajome kąty, dotykał każdej rzeczy rękami. Przed obiadem poodwiedzał krewnych i najbliższych znajomków. Witali go wszędzie ze zdziwieniem i dopytywali, co nowego.

Po obiedzie, gdy wszedł do sypialnego pokoju, zastał żonę siedzącą przy komodzie i wpatrującą się w jego zdjęcie. Poruszyła się jakby wstydliwie, więc wyjął z portfela jej zdjęcie i postawił je przy tamtym.

— Oglądam je każdego wieczoru — powiedział.

Przytulila się do niego. Chłonnął w siebie jej ciepło i całował długie, rozplecione włosy. Przez chwilę mignęły mu w pamięci samotne żołnierskie noce w ruskich wsiach. Gdy on patrzył na to zdjęcie, inni szli gdzieś do jakichś dziewczyn, o których potem długo i ze szczegółami opowiadali. Wcisnęły się do tych wspomnień warty w deszczu i chłodzie, bombardowania, marsze po błotnistych drogach. I zaraz przywołał ku sobie ostatnią noc z Marią. Powiódł dłonią po jej plecach.

— Janek, ty znowu? Mama może wejść, jest w podwórzu.

To nie było dla niego przeszkodą w porównaniu z tysiącami czy choćby tylko setkami kilometrów, które dzieliły ich przez długie miesiące. Był przekonany, że stracony czas trzeba powetować.

Opiekował się potem małym Ernestem, bo kobiety przed wieczerzą miały dużo roboty. Ernest miał już prawie dwa lata. Ojca wprawdzie nie poznał, ale łatwo się z nim oswoił — tym bardziej gdy razem zabrali się do strojenia choinki.

Wieczera wigilijna rozpoczęła się wcześniej, z tradycyjną pierwszą gwiazdką. Siedli dookoła prostokątnego stołu i, gdyby nie mundur Jana — byłoby wszystko po dawnemu.

Podzielili się przyniesionym z Butryn opłatkiem, tłoczonym w religijne sceny Narodzenia. Od barszczu aż do klusek z makiem jedli potrawy ze smakiem i w dobrym nastroju. Ojciec z Jankiem tręcali się kieliszkami i popijali słodką pomarańczówkę, którą Jan przywiózł ze swoich wojskowych przydziałów. Zaśpiewano pierwszą kolędę. Nie czuli jej obcości — była im taka droga, jak wszystko, co z Lipowiny. Choinka pałała teraz świeczkami, skwierczącymi pomiędzy refleksami srebrnych kul, a oni rozciągali długie, śpiewne sylaby:

Stille Nacht,
Heilige Nacht!
Alles schläft, einsam wacht,
nur das traute, Hochheilige Paar...

Nagle obaj z ojcem podnieśli się z miejsc. Ale ojciec wyprzedził Jana i zasłonił sobą drzwi. To było hasłem do następnej pieśni, której towarzyszył zakorzeniony obrzęd.

— Zostań — powiedział ojciec. — Zawsze ty. Raz ty posiedź, a ja tam pójdę.

Do tej pory rzeczywiście zawsze Jan wychodził pod okno, by pilnować. Ucieszył się, że pozostanie, choć nie czuł się pewny.

Trzasnęły za ojcem jedne i drugie drzwi, a po chwili pod oknami zazgrzytały na żwirze kroki, które po chwili ścichły. Matka — jak co roku, tak i teraz — zaczęła piskliwym, zawodzącym głosem:

W żłobie leży,
któż pobieży...

I już we troje podjęli polską, najbliższą melodię:

...kolędować Małemu.

Po pierwszym wybuchu śpiew jednak ucichał i ostatnie motywy brzmiały spokojnie, jakby nieśmiało:

Pastuszkowie, przybywajcie,
Jemu wdzięcznie przygrywajcie
Jako Panu naszemu.

Ta kolęda nigdy nie mogła obejść się bez łez. Plakać zaczynała zawsze stara matka: w wewnętrznych kącikach oczu pojawiała się błyszcząca rosa, ścierana po chwili rogiem fartucha. Maria zaraz potem wybuchała szlochem, nie przestając śpiewać; stawiała jej przed oczyma szkoła i zdawało się jej, że pan Pukowski z za choinki dyryguje śpiewem podniesionymi w górę rękami.

Wtedy oczy znieruchomiłego ojca zaczynały kapać łzami na klapy surduta. Z pewnością teraz te łzy kapały na zmarzniętą ziemię pod oknem. Jana nigdy nie było w pokoju podczas tej kolędy. Teraz — po raz

pierwszy uczestnicząc w obrzędzie — rozczulił się również, jeśli już nie czym innym, to płaczem kobiet. Rozrzewniła go w dodatku wypita wódka, toteż z trudem hamował łzy, wciskające się do oczu; wreszcie musiał sięgnąć po chusteczkę. Jedyne mały Ernest bawił się rytmicznymi podskokami na kolanach Marii i obserwował dorosłych z widocznym niepokojem.

Po prześpiewaniu kilku strof zapanowało milczenie. Za chwilę kroki w sieni i trzaśnięcie drzwiami zwiastowały powrót ojca. Wszedł do pokoju ciężkim krokiem, susząc oczy chusteczką, i ciężko usiadł na krześle. Jan nalał kieliszki, podsunął jeden ojcu.

— No, Vater, prost! Dziś nie dzień do płaczu. Wojna się kończy.

Maria wzdrygnęła się i spojrzała na męża. Chciało się jej wybuchnąć nowym spazmem, ale opanowała się. Nie uśmiechnęła się już jednak do końca wieczoru.

Gdy w nocy Jan, rozgrzany alkoholem, obejmował ją i sycił długo drążącą go tęsknotę, nie umiała oddawać mu pieśczoł. Wodziła mechanicznie dłońmi po jego głowie, brała w palce jego włosy i wzdychała raz po raz.

— Co ci, Marie? choraś?

Cóż miała odpowiedzieć?

— Janku, ty nie wrócisz.

Porwał się raptem, przysiadł na łóżku. W ciemności widać było tylko białą plamę jego nocnej koszuli. Dyszał mówiąc, w zdenerwowaniu wpadał w niemiecki język.

— Przecież kaput z wojną! Das ist doch Quatsch, was du sagst, Marie, jeszcze ino parę miesięcy. Ich komme wieder zurück.

— A ja czuję, że nie wrócisz.

— Po co ta gadka?

Osunął się na pościel. Nie znajdował dalszych argumentów. Dopiero po kilku minutach, nie mogąc zasnąć i słysząc oddech żony, powiedział znowu:

— Miała być córka. Jakie jej damy imię?

Objęła go ramieniem i przytuliła się do niego całym ciałem.

— Śpij — szepnęła. — Nad imieniem pomyślimy jutro.

Następnego dnia nie było okazji powrócić do tego tematu. Siedzieli przez cały dzień w domu, wychodząc tylko z karmą do inwentarza. W obecności rodziców nie rozmawiali o tych sprawach.

W drugie święto Jan odwiedził kilku znajomych. Inni przychodzili do nich. Mówili wszyscy:

— Zacznie się po ruskich świętach.

Jan nie wiedział dokładnie, kiedy to te ruskie święta; czuł tylko, że to później — gdzieś w początkach stycznia. Ale wiadomość niepokoiła go. Uległ ogólnemu podnieceniu, któremu uległa żona, ulegali rodzice. Wszelkim przewidywaniom wojennym zawsze towarzyszyło podniecenie. W Lipowinie sprzyjała temu jeszcze tajemniczość i nielegalność rozmów. Sprawy te dotyczyły przecież najbliższej ich przeszłości.

Dopiero pierwszego dnia po świętach, przed południem, gdy Jan baraszkował z Ernestem w pokoju na chodniku, matka zawołała z kuchni:

— Janek, listkorz do ciebie!

Jan od razu wiedział, co to znaczyło.

Maria w tym samym pokoju prasowała jego bieliznę. Odstawiła żelazko i zastygła w bezruchu. Była blada, trzęsła się jej dolna szczęka.

Jan odsunął rozbawionego chłopca, wstał z podłogi i energicznym krokiem wyszedł do kuchni. Słysząc było przez drzwi jego rozmowę z listonoszem, potem szelest papieru i zamknięcie drzwi.

Matka powiedziała tylko:

— Jezul

Jan wrócił do pokoju i podał żonie telegram, dodając krótko:

— Sofort.

Maria nie przeczytała telegramu. W spazmach osunęła się na krzesło. Ernest podgramolił się do niej i wyjął z jej rąk wysuwający się papier.

— Immer ruhig — uspokajał Jan wojskowym tonem.

Pakowanie nie trwało długo. Plecak był napęczniały bardziej niż w chwili przyjazdu.

Obiad zjedli w grobowym nastroju. Mówili mało.

Jan pożegnał się wpierw z matką, potem z ojcem. Maria przez ten czas stała przy piecu, tuląc do siebie Ernesta. Jan zabrał od niej dziecko, podrzucił je w górę wysoko, pod sam sufit, i pocałował kilka razy. Wreszcie postawił je na podłodze.

Gdy stanął przed żoną, wstrząsnął nią znowu płacz. Nie próbował go tamować. Przysunął usta do jej ucha i szeptał:

— Damy jej Jadwiga, tak jak mamie.

Opuściła dłonie od zapłakanej twarzy i zaczerwienionymi oczami patrzyła prosto w jego oczy, już teraz ufnie, już z pełnią nadziei. Nie raził jej nawet ten zielony mundur, o którym czasem myślała z przykrością.

Szepnął jej do ucha jeszcze raz:

— A jakby był szurek, to Franz, tak jak tata.

Nie żegnali się długo przy rodzicach, wstydzili się każdego pocałunku. Jan wyszedł do sieni, Maria poszła za nim. Odprowadziła go aż do furtki i patrzyła za nim długo, jak prężnym krokiem oddalał się po wiejskiej drodze. Doszedłszy do szosy, obrócił się, pokiwiał jej ręką i znikł za karczmą Draksa.

Znowu się jej zdawało, że już go więcej nie zobaczy.